

## **Terror rzeczywistości, czyli o miernotokracji**

Jeżeli nie chcemy za dwadzieścia lat oglądać w polityce tych samych twarzy, potrzebne są konkretne działania



**Jeżeli nie chcemy za dwadzieścia lat oglądać w polityce tych samych twarzy, potrzebne są konkretne działania**

W jednym z esejów składających się na wydaną w 1990 roku, w Bibliotece „Więzi”, poświęconą paryskiej „Kulturze” książce Krzysztofa Kopczyńskiego „Przed przystankiem Niepodległość”, czytamy

następujące słowa:

„Terror rzeczywistości jest zjawiskiem często w działaniu politycznym zapoznanym, ale im mniej o nim słyhać, tym gościnniej rozpiera się w parlamentarnych ławach, tym chętniej uczestniczy w podejmowaniu gabinetowych decyzji. Draży i ogarnia politykę pozbawioną dystansu, bezrefleksyjną, nastawioną tylko na osiągnięcie korzyści w doraźnej grze, wyzbytą nie tylko trzech cech wymienionych przez Marcina Króla (roztropności, otwartości i odwagi – przyp. autora), ale w ogóle wszelkich pierwiastków duchowych. Polityk, który legł terrorowi rzeczywistości, skazuje siebie i innych na bezmyślność. (...) Wartością samą w sobie stają się metody działania, czy też cele doraźne, cel dalekosiężny gdzieś ginie. Codzienna bieganina zastępuje wszystko. Wiemy dziś dobrze, że nie tylko totalitaryzm, ale także antytotalitaryzm potrafi znakomicie ograniczać życie intelektualne, doprowadzić do jego politycznej redukcji”.

Czytając powyższe, napisane przeszło dwadzieścia lat temu zdania, trudno odmówić im szokującej wręcz aktualności. A przecież przytoczony fragment pochodził z książki wydanej w zupełnie innych warunkach i okolicznościach, właśnie „przed przystankiem Niepodległość”, u progu nowej Polski, oswobodzonej po 45 latach komunistycznej niewoli, Polski, która miała być demokratyczna, wolna i szczęśliwa. Jak to się stało, że po dwudziestu latach, wciąż przytakujemy ze zrozumieniem, czytając słowa o „polityce pozbawionej dystansu”, o „bezmyślności polityków”, o „zastępującej wszystko codziennej bieganinie”? Dlaczego przez ponad dwadzieścia lat, niemal 40-milionowemu narodowi wciąż nie udaje się wyłonić ze swojego grona reprezentantów zdolnych do refleksji, do wyznaczania

dalekosiężnych celów oraz określania i wcielania w czyn realnych, praktycznych sposobów ich realizacji? Mówiąc dosadniej – dlaczego ciągle rządzą nami miernoty?

Istnieje zapewne kilka sposobów na wytłumaczenie tego irytującego zjawiska. Można oczywiście, jak często to ma miejsce, z zadowoleniem obarczyć winą społeczeństwo, które rzekomo, ogłupione propagandową papką wyborczych reklamówek, zawsze daje się omamić pustymi obietnicami i wciąż wybiera nie tych, których powinno było wybrać. Odpowiadając jednak na taki argument, można jedynie przypomnieć, że społeczeństwo wybiera spośród tych, których dostajemy do wyboru. Nie byłoby łatwo uwierzyć, że od dwudziestu lat rządzą nami miernoty tylko dlatego, że jako wyborcy nie potrafiliśmy dostrzec tych prawdziwych gigantów polityki, tytanów intelektu, pereł roztropności ukrytych zapewne przed nami na dalszych miejscach listach wyborczych. A zatem – społeczeństwo wybiera miernoty nie dlatego, że nie potrafi wybrać nie-miernot, ale dlatego, że tylko miernoty dostaje do wyboru.

Dlaczego do polityki trafiają miernoty? Na to pytanie również można odpowiedzieć dwojako. Pierwsza, nie tak wcale niepopularna teza, głosi, że polityczne miernoty są obrazem i podobieństwem społeczeństwa miernot. Druga, że nie-miernoty trafiają gdzie indziej.

Przeciwko pierwszej tezie świadczy chociażby fakt, że w niemal powszechnym odbiorze, ocena współczesnej polskiej klasy politycznej przez współczesne polskie społeczeństwo jest jednoznacznie negatywna, co zdaje się potwierdzać pocieszający, ale smutny jednocześnie fakt, że ogół społeczeństwa jest mądrzejszy od swoich

reprezentantów. Jak złośliwie, ale trafnie zauważył na Twitterze Łukasz Mężyk z internetowego serwisu 300polityka.pl przy okazji omawiania przez posłów afery Amber Gold, „dzięki tym dziesiątkom głupawych pytań debata w sejmie przypomina starcie - Tusk kontra ogród zoologiczny”. W jakim innym, cywilizowanym kraju, podstawowym skojarzeniem z obradami parlamentu narodowego jest zoo lub cyrk? A – nie oszukujmy się – w powszechnym odbiorze jest to skojarzenie powszechne.

A zatem, być może nie jest jeszcze z naszym społeczeństwem tak źle, jeżeli potrafimy trzeźwo ocenić rzeczywistą klasę naszej „klasy” politycznej. Ale jeżeli to jednocześnie potwierdza tezę, że do polityki wcale nie trafiają najlepsi reprezentanci społeczeństwa, to gdzie trafiają ci najlepsi, i w jaki sposób skłonić przynajmniej część z nich, aby zdecydowali się poświęcić swoje talenty i umiejętności dla służby krajowi?

Specyfika polskiej sceny politycznej polega między innymi na tym, że bardzo wielu, obecnych od lat na tej scenie kluczowych graczy stało się politykami niejako z przypadku, a nie wyniku świadomego, przemyślanego wyboru. Fakt, że dwie największe partie w Polsce wywodzą się z dziedzictwa opozycyjnego ruchu „Solidarności”, jest jednocześnie chlubnym przypomnieniem chwalebnej przeszłości lat 70-tych i 80-tych, ale i ciągłym piętnem dla politycznej teraźniejszości oraz ograniczeniem dla przyszłości. Dziedzictwo „Solidarności” oznacza bowiem, że dla polityka obciążonego tym dziedzictwem istotą polityki jest walka, a nie służba. „Solidarność” nie była nigdy ruchem zorientowanym na wyznaczaniem dla kraju długoterminowych strategii i celów, ale – na początku – na realizację bardzo konkretnych, bieżących postulatów ekonomicznych, a później, na równie mocno

osadzone w bieżącej rzeczywistości, obalenie rządzącej władzy i zmianę ustroju. Dokonane w wyniku porozumienia z komunistami zdobycie władzy mogło wydawać się zatem dzisiejszym politykom, z jednej strony – swoistą nagrodą za uwolnienie kraju od znienawidzonego przez Polaków ustroju, z drugiej zaś – otwarciem nowego frontu walki, tym razem o utrzymanie władzy za wszelką cenę. Polityczna historia ostatniego XX-lecia w Polsce nie jest opowieścią o wielkich wizjach i dalekosiężnych planach, ale o nieustającym obalaniu jednych przed drugich. „Solidarność” obaliła komunę, post-komuniści obalili „Solidarność”, AWS obaliło post-komunistów, SLD obaliło AWS, PiS obaliło SLD, PO obaliło PiS. Niezbyt to budujący przyczynek do politycznej historii dużego, europejskiego kraju.

I być może na tym między innymi polega słabość polskiej polityki, że rządzą nami byli opozycjoniści, zaprawieni w boju, ale chronicznie pozbawieni umiejętności strategicznego myślenia, a nie zawodowi politycy, profesjonalnie przygotowani do sprawowania publicznej służby. Tyle, że jedynym sposobem, aby ten stan rzeczy zmienić, jest doprowadzenie do politycznej wymiany pokoleniowej, trwałe odsunięcie od władzy warstwy skażonej PRL-em i dopuszczenie do rządów pokolenia tych, dla których ważniejsze jest, jak Polska będzie wyglądała za 30 lat, niż to, kto jak się zachowywał 30 lat temu. Pytanie jedynie, do jakiego stopnia liderzy największych partii są tej konieczności świadomi, a na ile – w swoim osobistym interesie, ale ze szkodą dla kraju – wolą utrzymywać partyjne status quo oparte na starych, wiernych towarzyszach broni.

Warunkiem wymiany pokoleniowej w polskiej polityce jest jednak nie tylko przyzwolenie partyjnych bonzów, ale i stworzenie systemu zapewniającego stałego dopływu młodej, świeżej krwi do politycznego

krwioobiegu. Polska i polskie społeczeństwo ulega przecież nieustającym przemianom. Każdego roku, tysiące młodych ludzi kończy wyższe studia. Dla ilu spośród tych szczęśliwców, którzy po opuszczeniu uniwersyteckich murów znajdują pracę, ścieżka politycznej kariery stanowi chociażby jeden z rozważanych wyborów? Dlaczego pierwszym i naturalnym (a często jedynym) wyborem absolwenta wyższej uczelni w Polsce staje się korporacja, a nie polityka?

Jeżeli nie chcemy za dwadzieścia lat oglądać w polityce tych samych twarzy, jeżeli nie chcemy, aby do polityki wciąż trafiał drugi i trzeci garnitur karierowiczów wybierających politykę tylko dlatego, że nie nadają się do niczego innego, jeżeli mamy dość polityki wyjąłowanej z elit zdolnych do poprowadzenia Polski na nowe tory rozwoju, potrzebne są konkretne działania. Po pierwsze, polityka musi wykształcić mechanizmy podobne do tych, które znamy z nowoczesnego biznesu, mechanizmy wyławiania i promowania najlepszych w oparciu o zasadę merytokracji. Po drugie – i to już bardziej zadanie dla środowisk intelektualnych niż dla samych polityków – należy dotrzeć do gotowych służyć Polsce, potencjalnych liderów w środowiskach pozapolitycznych (młoda kadra kierownicza w korporacjach i instytucjach) i zaciekawić, zainteresować ich polityką na tyle, aby za kilkanaście lat, po osiągnięciu stabilności życiowej i materialnej, mogli wziąć pod uwagę opcję przejścia z biznesu do polityki. W uproszczeniu – aby to osiągnąć, niezbędne jest uświadomienie przyszłym elitom, że polityka to nie tylko Tusk i Kaczyński, ale również Piłsudski i Dmowski, Waszyngton i Napoleon, Arystoteles i Platon. Po trzecie – niezbędne jest samokształcenie przyszłych elit politycznych, szczególnie w zakresie teorii i filozofii polityki, historii, ekonomii, zarządzania, strategii i kultury. Jeżeli państwo nie chce, lub nie jest w stanie stworzyć polskiego

odpowiednika Ecole nationale d'administration, najsłynniejszej francuskiej uczelni wyższej od lat kształcącej elity polityczne kraju, niezbędne jest tworzenie oddolnych, środowiskowych inicjatyw i instytucji edukacyjnych i formacyjnych. Politykę kształtują ludzie. Takich, jakich wykształcimy i wychowamy teraz polityków, takich za lat kilkanaście będziemy mieli.

Przytoczony na początku fragment tekstu z 1990 roku, Krzysztof Kopczyński kończył żalem, że „dany nam w latach siedemdziesiątych spokojny czas wykorzystywaliśmy często nie na naukę, lecz na doskonalenie się w dętej frazeologii”. Wbrew niektórym publicystom, często mylącym egzaltację z polityką, obecny czas – przynajmniej na razie – jest dla Polski czasem obiektywnie spokojnego dryfu – niestety dryfu, ale na szczęście spokojnego, nawet pomimo tak tragicznych wydarzeń jak katastrofa smoleńska. Spokojny czas może jednak nie trwać wiecznie, dlatego tak ważne, aby go wykorzystać w pełni. A zatem, nie dać się zniewolić terrorowi rzeczywistości i jałowej partyjnej bieżączce, ale spokojnie i systematycznie wyłuskiwać, kształcić i formować przyszłe polityczne elity. Teraz jest czas na naukę. Na władzę, przyjdzie jeszcze czas.

*Przemysław Pięta*